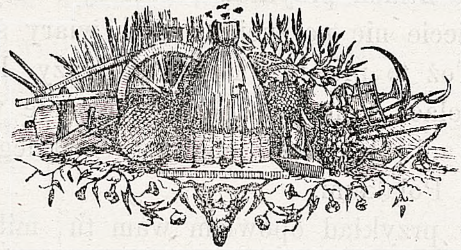
Tom XI. Nr. 10.

1. października 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną!

czyli:

Jako dawni Polacy byli stali w świętej wierze swojej.

Nie ma to nic piękniejszego na świecie i nic milszego Ojcu niebieskiemu, jak kiedy człowiek mimo nieszczęść i plag okrutnych wytrwa w wierze swojej świętej i nie złamie wiary swej ukochanej ojczyźnie.

Kiedy Chrystus Pan umarł na krzyżu, to uczniowie jego roznosili wiarę świętą po całym świecie, a choć ich bili, męczyli i katowali poganie, to oni nie ustraszyli się złości ludzkiej i bolów okropnych, ale znosili z radością męki i srogie katowania, i ani na chwilkę nie zaparli się prawdziwego Boga.

Toć wiadome wam przecie, kochani bracia, historje o męczennikach świętych, którzy ginęli na strasznych mękach, a wiary Bogu dochowali. Poganie palili ich na ogniu, ćwiertowali ich ciała w kawałki, dawali ich na pożarcie dzikim zwie-

rzom, a przecież męczennicy ci święci konając wśród strasznych udręczeń, zostali wierni nauce swego Zbawiciela.

Brali sobie z nich przykład i nasi ojcowie, dawni Polacy, i za nic w świecie nie porzuciliby byli wiary świętej i ojczyzny swojej. Toż to nie raz i nie sto razy Polacy umierali w okrutnych bolach i mękach, a przecież nie wyrzekli się oni wiary świętej ani ojczyzny, jeno do ostatniego tchu zostali wiernymi Bogu Polakami.

Na piękny przykład opowiem wam tu, mili bracia kmiotkowie, trzy przytrafunki z dawności o trzech zacnych i sławnych Polakach, co woleli wyrzec się skarbów i honorów a nawet umrzeć na najokropniejszych mękach, niż zagubić duszę i nie dochować wiary naszemu Zbawcy.

I tak najpierw posłuchajcie o polskim wojowniku, hetmanie Stanisławie Koniecpolskim, co żył za dawnych czasów w naszej Polsce, kiedy w niej panował król Zygmunt III.

Sławny ten i zacny Polak dostał się w nieszczęsnej bitwie pod Cecorą, gdzie to sam sławny ów hetman Żółkiewski i tyle wiary naszej od szabli tureckiej zginęło, do niewoli pogańskiej.

Skoro tego hetmana Koniecpolskiego schwytali w bitwie poganie, to najpierw trzymali go w strasznem, ciemnem jak noc więzieniu, na srogim żelaznym łańcuchu, a potem wywlekli go przed sam tron cesarza tureckiego czyli jak się on tam zwie sułtana.

Gdy Koniecpolski stanął przed sułtanem i najstarszymi Turkami, rzekli mu oni:

— Obieraj sobie! Albo porzuć twą wiarę chrześcijańską i ojczyznę a przystań na naszą wiarę, to wtedy cię zrobimy wielkim jenerałem i damy ci huk złota i 50,000 wojaków; — albo zostań przy twojej wierze, a będziesz gnił w więzieniu i wił się jak pies nędzny na łańcuchu!...

I czy myślicie może, że hetman Koniecpolski usłuchał tej rady pogańskiej?...

Gdzieżtam! Nawet się ani chwileczki nie namyślał, jeno śmiało odpowiedział:

— Nie doczekacie się tego, abym miał porzucić religję świętą ojców moich i nie dochował wiary mojej ojczyźnie!

Choćbym zginął marnie na mękach, to nie uczynię tego nigdy!

— Idźże na więzienie wieczne! — zawołali Turcy.

Wtedy porwali go poganie i wtrącili w więzienie i tam siedział w cierpieniach hetman polski, ale nie stracił odwagi, jeno wytrwał w wierze swojej, aż go Pan Bóg i rodacy wyzwolili z niewoli pogańskiej.

A druga zaś historja jest o księciu Dymitrze Wiśniowieckim, co póki życia gromił wrogów i pogan w obronie wiary i ojczyzny.

Księcia Dymitra Wiśniowieckiego, złapali na wojnie wrogi Wołochy, właśnie kiedy był chory, i oddali go w ręce Turków, z którymi byli w przyjaźni.

Poganie okrutnie nienawidzili księcia Wiśniowieckiego, bo ich srodze czesał szablą, kiedy był na wolności. Gdy go więc w moc swą dostali, kazali mu przystać na wiarę pogańską.

Ale Dymitr Wiśniowiecki zawołał:

— Przebrzydli pohańcy! Jak śmiecie nastawać na mnie, abym się wyrzekł wiary świętej chrześcijańskiej i zaprzedał duszę djabłu! Jeszcze tego nie bywało, aby Polak zacny zdradził Boga i kraj swój miły!...

Poganie zgrzytnęli zębami z wściekłością i porwawszy księcia Wiśniowieckiego powiesili go za żebro na żelaznym haku.

Straszna to, okropna była męka, aż włosy jeżą się człowiekowi na głowie, i serce się ciężko krwawi na samo wspomnienie!...

Ale męka ta nie zmieniła księcia Wiśniowieckiego. Przez dwa dni i dwie nocy wisiał uczepiony za żebro na żelaznym haku ten Polak męczennik, i znosił najokrutniejsze bole, ale nie wyrzekł się wiary świętej, jeno głośno się modlił i oddawał chwałę Bogu Najwyższemu.

Dopiero trzeciej doby, kiedy Turcy zobaczyli, że Wiśniowiecki żyje jeszcze, zebrała ich litość i dobili go strzałami z łuków.

*

Potem zdjęli go z haka, wypruli mu serce z ciała i serce to pokrajali na drobne kawałki i rozdali między siebie na jakieś pogańskie czary i zabobony.

Taką samą śmiercią męczeńską za wiarę świętą umarł w rękach tureckich książę Samuel Korecki, dzielny wojownik polski, co popadł w niewolę pogańską także w owej nieszczęsnej bitwie pod Cecorą.

I jego także namawiali wszelką siłą poganie, aby ich wiarę przyjął i grozili mu okropnie, jeżeli tego nie zrobi.

Ale Korecki nie nastraszył się groźb tureckich, jeno jak na zacnego Polaka i Chrześcijanina przystoi, obstawał przy świętej wierze ojców swoich...

Za to wrzucili go poganie do ciemnicy okrótnej i tam go z udręczeniem rozmaitem trzymali przez kilkanaście miesięcy. Myśleli Turcy, że go tem zmuszą, aby przystał na ich wiarę pogańską.

Ale nie doczekali się tego poganie. Książę Samuel Korecki pozostał wiernym Bogu, a Turcy ze złości okrutnej wysłali do niego do więzienia katów, aby go za to udusili.

Jak Korecki zobaczył koło siebie katów, zawołał:

— Kiedy mi zginąć przychodzi za wiarę, chętnie i z radością zginę! Ale wpierwej niech poznają okrutne poganiska, że Polak tak łatwo nie da się marnie zgładzić ze świata!...

I przyskoczył do katów, wyrwał jednemu z nich nóż z ręki i tym nożem bronił się do tchu ostatniego. Nie minęła chwila, a już tarzał się w swej własnej posoce jeden i drugi Turek — ale w końcu przemogli pogańscy kaci nieszczęśliwego Polaka i udusili go powrozami.

Potem wyrzucili martwe ciało tego polskiego męczennika przez okno z wieży i zagrzebali je w piasku. Dopiero później udało się Polakom wykopać ciało nieboszczyka i zawieźli je do Polski, gdzie go w świętej ziemi ojczystej pochowali...

Tacy to byli nasi ojcowie!...

Nie żałowali oni nigdy krwi dla wiary świętej i prędzej znosili okropne męczarnie i katowania, niżby się kiedy mieli wyrzec nauki chrystusowej.

Wojtek ze Smolnicy.

Wieczór jesienny.

Zadzwonili już na Anioł
Z dzwonnicy na wzgórku —
Chodzi starzec jak gołąbek
Po czystem podwórku.

Chodzi i zmawia po cichu
Nabożne pacierze:
Jeden i drugi Ojczenasz,
I Zdrowaś i Wierzę,

I rozmaite litanie
I kilka koronek,
Do wszystkich dzieci i wnuków
Patronów, patronek.

Już snop ostatni zwieziony,
Zieleni się niwa;
Gospodarz, czeladź, obora,
Już wszystko spoczywa.

Więc po cichu i bez żalu
Starzec duma sobie:
„Kiedy wszystko tak spoczywa,
„Czas też i mnie — w grobie!

„Czas obaczyć stęsknionemu
„Znów drogą niebogę,
„Co tak wcześnie tam do Boga
„Wybrała się w drogę.

„Służyłem wiernie tej ziemi,
„Dla dzieci i świata, —
„Dusza tęskni do Cię Boże!
„W służbę Twoją wzlata!“ —

Miesiąc jasne z poza lasu
Promienie rozniecił —
Jakby starcowi do nieba
Na drogę zaświecił.

I zeszły gwiazdy rzęsiście,
Jak ziarno posiane,
Dla starca wkrótce tam w niebie
Do zżęcia wskazane.

Rusin z Więckowic.

Garnek z popiołem.

Żyło sobie w jednem miejscu małżeństwo we wsi. Oboje byli skąpi i nieuczynni, a osobliwie ona. Ni tam u nich w chałupie ujrzysz kogo w gościnie, a tem bardziej ubogiego, choć gospodarstwo mieli nie złe, i nie mieli dzieci. Każdy mówił, że pieniądze muszą składać gdzieś i że ich mają nie mało. Nie lubiła ich wieś cała, bo jużci, kto też skąpców i nieużytych ludzi lubi?... Kiedy nawet w piśmie świętem stoi napisano: „że skąpiec nie dostanie się do królestwa Bożego.“ Więc jak się rzekło, skąpiec to nieprzyjemny Bogu i ludziom.

A tu miły Boże, cóż ci przyjdzie z twego skąpstwa i zabiegłości, jeżeliś sobie niczem na niebo nie zarobił? Rychlej — później przyjdzie ci pójść z tego świata, i pójdziesz z niego taki, jakiś przyszedł, nic z niego z sobą nie weźmiesz. Nie pójdzie tu i za największym bogaczem ani jego złoto, ani jego majętności, ani jego zaprzęgi, ani nic, pójdą jedynie dobre uczynki, jeżeliś ich miał w życiu. A zresztą wszystko ci będzie oddane wedle sprawiedliwości: „jakąś miarką mierzył, taką ci będzie odmierzono.“

Tak też i temu gospodarzowi było, przyszła śmierć kostusia do jego chaty i zapukała: „Pójdź bratku!“ Darmo, od niej się człeku nijak nie wyprosić.

To jeno, że jeden może się do śmierci pomału przysposobić, gdy zaś drugiego nagle uchwyci i amen.

Otóż tak się stało i z tym tu gospodarzem. Jeszcze z rana poszedł w pole zdrów, a do wieczora jak przyszedł, to tak zaniemógł, że się go słowa już domówić nie mogli. Widząc że źle, posłali duchem po księdza, ale jak ksiądz przyjechał, to mu już zamknęło mowę, i tylko mu ostatnią dał absolucyę ksiądz, i nie wiem czy za próg wyszedł, a gospodarz skonał.

Wnet się wieść o śmierci jego po całej rozeszła wiosce. Ludzie się zlecieli, żona ręce załamuje, chodzi jej i o męża i o to jeszcze może bardziej, że tak pomarł nagle, że ani słówka nie wyrzekł, gdzie są schowane pieniądze. Boć pieniądze były, to ona o tem wie dobrze, tylko że nieboszczyk miał zwyczaj coraz w inne przechować je miejsce.

Ale cóż, nic nie pomógł lament i szukanie po całej chałupie i po stodole i po ogródku, pieniędzy jak nie było tak nie było. A tu pogrzeb, a i na to nie było gotówki, a baba skąpa, nie chciała nic na ten expens sprzedać, to też pochowali go, Boże zmiłuj się, jakby najbiedniejszego komornika. Pochowali i zapomnieli, ot jak się to zwykle we świecie dzieje. I wyszło dni kilkanaście od pogrzebu, baba się w chałupie ledwie gdzie nie podzieje za pieniądzmi. No to myśli sobie, jeszcze by się człek i wydał, bo dzieci nie ma, żeby były pieniądze. No i zrobiła się jeszcze skąpsza, już nie doje, bo ża-

łuje. Wtem dnia jednego dziaduś siwuteńki stanął w progu chałupy. Pochwalił Pana Jezusa i mówi:

— Moja gospodyni kochana, opatrzcież też czem dziadusia, będę się modlił za duszeczkę nieboszczyka. Może też jaka szmata po nim została, a ja też nie mam koszuli — prawił dziaduś — to mnie też za duszyczkę waszego opatrzcie, będę chwalił Pana Boga! Albo też jaką okruszynę chleba, jeszczem dzisiaj w gębie nic nie miał, zaschło mi; zlitujcie się gospodyńko, Bóg wam to stokroć nadgrodzi!

— Niech was Pan Bóg opatrzy — rzekła z fukiem gospodyni. — Nie mam ja tu na rozdawne teraz, nie dość żem została sama sierota, jeszczebym ta miała co drugim udzielić. Pogrzeb kosztował, ostatnia przyodziew nieboszczyka poszła na to; a chleba nie mam ni kąska sama, jeszczem go po jego śmierci nie piekła

— To choć jakich ziemniacząt, albo garść czego z komory dajcie mi, gospodyńko, zlitujcie się, Bóg wam to stokrotnie nadgrodzi! — nalegał uparcie dziaduś.

Znudzona tem proszeniem dziadusia baba zawołało wreszcie dziadusia do środka izby, i rzekła:

— Kiedyście taki uparty, to pójdźcież wziąść sobie ten garnek stary, co tu stoi z popiołem w kącie.

Dziaduś posłuszny poszedł do kąta, i wziął czerep stary, w którym niby popiół, ale to bardziej śmiecie były, a mówiąc:

— No Bóg zapłać i za to! — odszedł z izby, a baba się uradowała, że się go pozbyła, i że jej jeszcze za to śmiecie wyniósł z chałupy.

I wyszedł dziaduś kawałek za wieś ze swoją jałmużną i myśli sobie:

— Ciężki czegoś ten popiół, żebym wiedział, że mi za niego kto da choć okruszynę chleba, tobym go doniósł do miasta!

A tu go już siły opuszczały, bo był wielki staruszek. I zapłakał sobie gorzko nad nielitościwem sercem skąpej gospodyni. Ale że był głodny i nagi, to nie rzucił o ziemię garnkiem starym, ale sobie myślał:

— Doniosę go ku miastu do mydlarza, to ulituje się nad moją nędzą, i podaruje grajcar i kawałek chleba.

No, i stękając ze słabości doniósł dziaduś garnek popiołu ku przedmieściu, i do najpierwszego wszedł mydlarza, żebrząc słabym głosem o kęsek chleba i grajcar za garnek popiołu. Litościwy mieszczanin zawołał go zaraz ku sobie, obiecał chleba, kazał spocząć, a sam wziąwszy garnek, chciał przechylić i wysypać popiół tam, gdzie był skład jego.

No i podniósł garnek do góry, i przewrócił dnem, a tu brzęk się zrobił, i coś błyszczącego poczęło toczyć się po ziemi. Patrzy, a tu wszechmogący Boże, taż to czyste dukaty, a jest ich ze dwie kwarty, bo widać, choć się roztoczyły! Zgłupiał mydlarz, zadumał się i dziaduś, co zaś takiego, że z popiołu zrobiły się dukaty?

Dziaduś opowiedział wszystko mydlarzowi, a mydlarz rzecze:

— No kiedy tak, to zanieśmy te pieniądze do sądu, bo choć to ona wam je sama dała, to zawsze nie wasza to własność.

Dziaduś także tak myślał, więc też poszli oba do sądu, i tam całą historję opowiedzieli i garnek z dukatami złożyli. Zaś mydlarz rzecze:

— Ponieważ gospodyni darowała ten garnek dziadowi, a ja odkupiłem go dla siebie, dla tego też nie oddamy inaczej tych dukatów, dopóki z nich połowy nie dostaniemy.

Przywołali ową skąpą gospodynię i rozpowiedzieli jej wszystko. Gospodyni włosy sobie rwała z głowy, że taka była nieostrożna i wymyślała na swego męża nieboszczyka, ze w garnek pieniądze chował a jej nic nie powiedział. Ale co przepadło — to przepadło, stanęła taka ugoda w sądzie, żeby połowę dukatów oddała dziadusiowi i mydlarzowi.

Poczciwy mydlarz i siwy dziaduś gdy wzięli te dukaty, to ich ani chwilki u siebie trzymać nie chcieli, jeno zaraz uradzili, aby te pieniądze oddać na szpital dla kalek i chorych biedaków. I tak też uczynili — a rychło stanął dom murowany, w którym ludzie chorzy mieli ciepły przytułek i pomoc w nieszczęściu.

Zaś skąpa gospodyni aż chorowała ze złości i zgryzoty, ale się przecie trochę poprawiła, bo już poznała dobrze, że *skąpy dwa razy traci.*

Ludka z Myślenic.

Podpalacz.

I.

O Przenajświętszy Boże, czyż jest jaka zbrodnia na świecie sroższa od podpalania?.. Morderstwo, kradzież, rabunek wszystko to mieści się w podpalaniu.

Człowiek pracuje przez całe życie, stara się o kawałek chleba, mozoli dla żony i dziatek, a tymczasem przyjdzie łotr potajemnie ciemną nocą, podrzuci ogień i sam uciecze, a tymczasem wybucha pożar, płomienie ogarniają chatę, stodołę, chlewy, trzaska zboże, pali się słoma i siano, goreje biedne bydełko, w popiół zmienia się chałupa, w którejś się urodził, w której urodziły się twoje dzieci, gdzie szczęśliwie żyli dziadowie i pradziadowie twoi, czasami nawet ludzie zaparci wewnątrz giną straszliwą śmiercią, a w jednej chwili owoc zmudnej i ciężkiej pracy, wieloletniego znoju marnie ginie.

Historya, którą wam tu opowiadam, jest prawdziwą i działa się za moich lat młodocianych, a żywemi oczyma na nią patrzyłem.

We wsi Liszkach przed dwudziestą kilką laty pojawiały się częste kradzieże, z początku ginął drobiazg: kury, gęsi, kaczki, później poczęto wyprowadzać krowy i konie, a gospodarze całej wsi aż dygotali od gniewu na złodzieja, który tak zgrabnie kradł, że go na gorącym uczynku schwytać nie było można. Próżno stróże po nocach pilnowali; ile razy powstała pluchota, lało deszczysko i odprawiający straż skryli się pod dach, wnet złodziej jakby z pod ziemi zjawił się i szkodę zrobił. Nieraz nawet o jasnej nocy przy miesiączku; skoro straż poszła na jeden koniec wsi, w chwili na drugim uwinął się łotr i psotę wyrządził. Ile razy zeszła się gromada do karczmy na obradę i coś ustanowiła ku schwytaniu złodzieja to

już się ten nie pokazał jak gdyby był przy naradzie i ją wysłuchał.

Dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Wkrótce też i naszemu złodziejowi przyszedł koniec, a stało się tak:

W Liszkach żył podówczas bogaty kmieć, nazwiskiem Owca, który miał dobre konie i dowoził towar kupcom do Królestwa czasem nawet i nocami, bo gdy człek chce co zarobić, to musi i niedosypiać. Pewnej nocy powrócił stary wraz z synem dwoma wozami od Cianowic. Ojciec zaraz poszedł do izby i położył się spać zamknąwszy syna Stanisława w stajni, któremu świeże sianko pachniało na górze i dla tego w stancyi nie nocował.

Stach był to parobek silny a odważny, co to mówią nie zląkłby się nietylko odmieńca, ale nawet samego czarta, nieprzewidując przecież niczego spał sobie smaczno, kiedy w tem we śnie zdawało mu się, jakoby drzwi od stajni skrzypnęły; ocknął się natychmiast, przetarł oczy i podniósł głowę, w tem mignął mu się we drzwiach jakiś cień i usłyszał uderzenie końskiej podkowy o próg, zaraz mu złodziej w myśli stanął, więc jednej chwili już był na ziemi, a wyskoczywszy na pole ujrzał przed sobą jakiegoś człowieka wyprowadzającego konia; walny parobczak rzucił się z zajadłością na złodzieja, ten z nienacka zaskoczony nie zdołał nawet bronić się, a już był uchwycony za kark i lewą rękę, którą trzymał uzdę. Próżno pękiem witrychów ugodził Stacha w głowę, klucze oddźwięknęły po głowie, ale w tej chwili młody Owca powalił złodzieja na ziemię i ściągniętą w szamotaniu uzdą skrępował mu ręce.

Na krzyk Stacha wybiegł ojciec z izby ze światłem, a któż opowie ich zdziwienie, kiedy w złodzieju poznali jednego z zamożnych gospodarzy, który nawet był przysiężnym, i najwięcej przeciwko złodziejowi dowodził na zebraniach gromady.

— To to ty ptaszku umiesz tak pięknie okradać wszystkich — zawołał stary Owca — no ale poczekajno braciszku, przyszła kreska i na ciebie, odpokutujesz teraz w kryminale za twoje sprawki!

— Albo wam sąd uwierzy — zawołał zuchwale złodziej — mnie

znają wszyscy jako uczciwego, zeznam wszędzie, że to ja was uchwycił na kradzieży, a wyście mię przemogli i zawlokłszy pod waszą chałupę, na mnie zwalacie.

. — Ba nieźleby tak to było Plewo — ozwie się jakiś głos z za płota — ale cóż kiedy na wasze nieszczęście jest nas tu więcej świadków, a nam prędzej uwierzą.

— A to wy Michale — rzeknie stary Owca — dobrze żeście się tu znaleźli jak na zawołanie, bo się na własne oczy przekonacie jaki to przemądry lisek z Plewy. Pamiętacie, że zawsze okrutnie dowodził przeciwko kradzieżom i doradzał jak złodzieja schwycić, pamiętacie jak Kubę oddał do kryminału, choć wszyscy mówili, że niewinny, a teraz pokazało się kto to po wsi kradał.

— Wiedźmy go do komisarza! — rzekł Stach.

— Słusznie macie, po co go tu będziemy trzymali.

Plewa widząc, że im się wywinąć nie zdoła, zmiękł i począł mówić:

— Moi mili sąsiedzi, ja tylko tak żartowałem, chciałem się oto przeświadczyć czy kumoter Owca pilnuje swego dobytku i tak zakradłem się przez figle.

— A toć i mnieś przez figle w łeb witrychami zamalował?

— Bom myślał na ciebie Stachu, że to jakiś złodziej prawdziwy mnie chwyta.

— A nacożeś witrychy nosił, hę? — zawołał Michał.

Plewa zamilkł nie mając nic odpowiedzieć.

— Wiedźmy go do komisarza — ponowił Stanisław.

— Czekajcie chwilkę, jak mię tam zawieziecie i przysięgniecie, to pójdę do kryminału i steram się na nic. Cóż wam z tego przyjdzie mili sąsiedzi? Oto puśćcie mię wolno, a ja wam się sumituję na wszystkie świętości, że i kraść w życiu więcej nigdy nie będę i jeszcze wam dam po dwadzieścia reńskich!

— Schowaj sobie złodziejskie pieniądze! — zawołał Owca — my cudzej krzywdy nie potrzebujemy, a sprawiedliwość być musi na złodzieja, oj co musi to musi, broiłeś jak ci się podobało i nie jeden niewinny popadł w podejrzenie przez ciebie, teraz za wszystko odpokutujesz.

Plewa widząc twardość kmieci zawołał z straszną złością:

— Pamiętajcie sobie, że jak mnie oddacie sądowi ja się zemszczę za moją krzywdę, o zemszczę, nie daruję do śmierci.

— O ty łotrze — krzyknie Owca — to ty się nam jeszcze odgrażasz, poczekajże mój uczciwy człowiecze, niechajże ci prawo tę krzywdę zrobi, jaka się złodziejowi należy!

— Ruszaj! — zawołał Michał.

— Dalej! — huknie Stanisław — bo cię pięknie poproszę! — To rzekłszy popchnął z całej siły Plewę, że się o mało nie przewrócił.

Złodziej uzieleniał z trwogi i złości, i krzyknął zuchwale:

— Stachu! żebyś tylko kiedy nie żałował tego co robisz!

I do sądu powiedli Plewę a on rozżarty całą drogę klął, wyzywał i odgrażał się wszystkim trzem a iść nie chciał, że go trzeba było popychać naprzód.

Na ławie przed sądem czekali ósmej godziny, o której kancelaryą otwierano, pilnie strażując więźnia.

Nareszcie pachołek wyszedł i kazał im się udać do komisarza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł wchodzący do kancelaryi Owca.

— Na wieki — odrzekł komisarz — cóż mi powiecie?

— Schwyciliśmy złodzieja, wielmożny komisarzu — odrzeknie Owca — jak mi wyprowadzał konia ze stajni, zdaje się, że to ten sam co przez tyle czasu po wsi kradał.

— A gdzież go macie? — zapytał ciekawie komisarz.

— Jest za drzwiami i trzyma go mój Stasiek z Michałem Grzebieniem, aniby się wielmożny komisarz nie spodział, kto to taki.

— Któż taki? — pyta komisarz.

— Oj gospodarz tutejszy i dobry gospodarz, Fabijan Plewa.

— Czyż to być może! — zawołał sędzia.

— Ależ to przecie gospodarz zamożny i do tego radny — mówi dalej — a czyście pewni, że przyszedł kraść?

— Jakto czyśmy pewni wielmożny komisarzu, a tośmy go, powiadam, uchwycili wyprowadzającego konia ze stajni, a gdy

go mój Stasiek uchwycił, to go tak zamalował w łeb witrychami, że ma pełno sińców na twarzy.

— Wprowadźcież go — rzecze komisarz — a ja przygotuję protokół.

Plewa stanąwszy przed komisarzem skłonił się uniżenie i przybrał taką minę, jakoby nic nie był winien.

Spisano początek protokółu, gdzie stały pytania jak się nazywa, ile ma lat, bo choć o tem komisarz dobrze wiedział, przecież jest taki przepis, aby w ten sposób robiono wywód.

Kiedy wreszcie po zeznaniu trzech świadków komisarz zapytał Plewę czy przyznaje się do tego co mu zarzucają, Fabijan udając głupiego począł prawić, że nie rozumie czego chcą od niego,, że on sobie spał spokojnie i wyszedł w nocy na chwilę przed chałupę, a w tem go Owca z synem i Michałem napadli, pobili i do komisarza przywiedli. „Złość jakąś do mnie mają wielmożny komisarzu, ale mi tu przecież cała wieś wyświadczy, żem człowiek uczciwy, a i prześwietny urząd zna mnie nie od dzisiaj“ — dodał.

Dopieroż zaczęły się badania na ostro, komisarz raz łagodnie radził Plewie, aby się przyznał do wszystkiego i próżnem zapieraniem nie przedłużał sprawy, to znów groźnie przemawiał strasząc go cięższą karą jeżeli się nie przyzna, ale wszystko to było na próżno, Plewa uparcie zapierał się kradzieży i krzywdę swą jak mówił zwalał na świadków. Na tem protokoł ukończono o Plewie, poczem przesłuchano ojca, syna i Michała, którzy wszystko zeznali jak było. Skoro indagacya ustała, komisarz rzekł:

— Teraz musicie zaprzysiądz wasze zeznania.

— Z ochotą wielmożny komisarzu, na rzecz sprawiedliwą nie ma strachu przysięgać — odrzekł stary Owca.

Więc komisarz zapalił świece, postawił obok Pana Jezusa i rzekł: Macieju Owca uklęknijcie!

Maciej ukląkł, a w tem Fabijan zawołał:

— Macieju pamiętajcie, że nad grobem stoicie, nie róbcie mi krzywdy i nie gubcie mię z żoną i dziećmi, bo was ciężko Pan Bóg skarze.

— Pan Bóg nikogo nie karze za prawdę, tylko za fałszywość i zdradę — rzecze spokojnie stary — i dla tego przysięgnę.

— Ale za nastawanie na drugich Pan Bóg wam nie daruje, a ja wam tego nigdy nie zapomnę i zapłacę wam z przysypką.

— Zbrodniu! — zawołał komisarz — jeszcze się odgrażasz, panie adjunkcie proszę to zapisać do protokółu.

— Niech mu wielmożny komisarz daruje — rzecze Owca — to tylko złość tak przez niego gada.

— Wy mnie nie będziecie uczyli moich obowiązków — rzecze komisarz — przysięgaj.

Wszyscy trzej zaprzysięgli.

Wtedy Plewie założono łańcuszki, zaszła podwoda, a komisarz zawołał oddając pachołkowi spisany protokół. „Odwieziesz go do kryminału!“

— Co?! co? mnie do kryminału, a to za co, czy mi dowiedli kradzieży? Mnie do kryminału gospodarza z gospodarzy z dziada i pradziada, osiadłego na roli, a czy to który z moich siedział w kryminale?

— Bo też żaden nie kradł — rzekł na to komisarz.

— Panie komisarzu, jaśnie wielmożny komisarzu, najjaśniejszy urzędzie ja nic nie winien, ci zdrajcy i oszuści uwzięli się na mnie, żeby mię zgubić i sterać do ostatka. Zmiłuj się panie nademną i każ mię puścić bo ja nic a nic nie winien.

Gdy te prośby nie pomogły, zawołał:

— Ja pójdę, ale Pan Bóg się pomści za moję krzywdę, a ja, dodał patrząc okropnym wzrokiem na około, nie daruję nikomu co się do mojego nieszczęścia przyczynił. Popamiętacie mię wszyscy!

— Co ty łotrze i urzędowi będziesz się odgrażał, czy myślisz że tu żartować z tobą będą, ej nie drażnij mię, bo cię każę rozciągnąć i dwadzieścia pięć kijów wysypać!

— Nie jestem ze szkła, to się nie rozbiję, odrzekł ponuro Plewa, ale swojego nie daruję, jak mi Bóg miły, nie daruję...

— Bierzcie go i odrazu na wóz, bo nie wstrzymam się dłużej! — zawołał w gniewie komisarz.

Świadkowie z pachołkami pochwycili Fabijana, który usiłował się bronić, ale napróżno — zaraz go wrzucono na wóz, który szybko potoczył się gościńcem. Plewa obejrzawszy się raz jeszcze, zawołał: „Macieju! Stanisławie! Michale! — wiecznie nie będę siedział w kryminale, a skoro mię tylko wypuszczą, to wam przypomnę dzień dzisiejszy!“

Po przyjeździe do miasta i oddaniu w ręce sprawiedliwości Fabijana, wsadzono go do więzienia wilgotnego z okienkiem zakratowanem pod samą powałą, zatwardziały zbrodniarz nie dręczył się wcale ani przypadkiem jaki go spotkał, ani wstydem, ani ciasnotą więzienia, ani lichym pokarmem; rozmyślał tylko nad tem jakby się wykręcić, a po wydobyciu z kryminału zemścić na tych, co go, wedle jego krzywego rozumienia skrzywdzili i pragnąc sobie dopomódz postanowił zapierać się do ostatniego i do niczego nie przyznać.

Nie wiele mu to przecież pomogło, sędziowie umieli brać się do Plewy, a ten zmieszany tak się powikłał, że w końcu musiał przyznać się do wszystkiego. Wydało się wtenczas, że wszystkich kradzieży we wsi był sprawcą Fabijan, że skradzione bydło i konie nocą wyprowadzał nad Wisłę do lasu, kędy złodzieje z pruskiego Szlązka mieli swoją stacyę i wszystkie rzeczy skradzione w okolicy odkupywali. Płacił złodziejom dobrze, aby ich ku sobie znęcić, a od innych odstręczyć kupców. Wydało się nadto, że Fabijan wypatrzony na złodziejstwie przez swego parobka Kubę, tak umiał korzystać ze swej niby uczciwości, że na Kubę zwalił winę i jego wtrącił do kryminału.

Wszystkie te historye były okolicznościami obciążającemi zbrodnię Fabijana, dodawszy do tego obejście się ze Stachem, odgróżki czynione świadkom i komisarzowi, sąd uznał Plewę bardzo winnym i wydał wyrok na dwanaście lat ciężkiego więzienia, gdyby nie to, byłby zapewne nie na dłużej jak na pięć lat skazany.

Skoro Fabijan ujrzał się zamkniętym w samotnej stancyjce, w grubej odzieży aresztanckiej, okuty na ręce i nogi, skoro się przekonał, że będzie musiał wysiedzieć lat dwanaście,

zgrzytnął zębami i podniosłszy rękę w stronę wsi swej rodzinnej, zawołał:

— Czekajcie, wrócę ja do was, ale niech mię nagła śmierć spotka zaraz, jeżeli się nie zemszczę okrótnie za moją krzywdę!

(Co zaś stało się dalej na przyszły raz wam opowiem.)

RÓŻNOŚCI.

Sprytny chłopak. Niedaleko Wiednia stał się niedawno taki uciesznyprzytrafunek. Jeden czeladnik rzeźnicki założył się z drugim, że zaniesie do Wiednia cielę i nic na rogatce nie zapłaci. A trzeba wam wiedzieć, że w każdem większem mieście opłaca się od wszystkiego na rogatkach akcyzę, toć więc i za cielę należy się tam opłata. Otóż ten czeladnik wygrał zakład, bo jak powiedział, tak zrobił.

A posłuchajcie jeno jak to było. Zaniósł on cielę przed samą rogatkę wiedeńską i zostawił je w jednym tam domku u znajomych. Potem zaś wziął dużego psa, co akuratnie miał taką wielkość jak cielę, wsadził go do worka, wziął na plecy i idzie przez rogatkę.

— Co niesiesz? — pytają go strażnicy.

— Ot niosę psa w worku dla jednego pana do miasta.

— Ej kłamiesz! — mówią strażnicy, bo nie wierzyli, jeno myśleli, że ich czeladnik chce oszukać. — Pokaż go, niech zobaczymy.

— Ot dalibyście pokój, bo mi psisko ucieknie! — mówi na to czeladnik.

Ale nic nie pomogło, bo strażnicy ani rusz uwierzyć. Rozwiązali więc worek a tu psisko czarne wyskoczyło z worka, a że się nastraszylo bardzo, więc dalej w nogi.

Czeladnik niby rozgniewany wola:

— A widzicie, coście mi narobili, teraz ja tej bestyi nie dogonię!

I puścił się drapaka za psem, udając, że go niby chce koniecznie złapać. Tymczasem ani mu w głowie nie było gonić za psem, jeno poszedł do owego domu, gdzie zostawił cielę, wziął cielę do worka, zawiązał i idzie znowu na rogatkę. Gdy już był blisko strażników, począł udawać, że się okrutnie zmęczył, sapał jak miech i mówi:

— Oj trzebaż wam było na moje utrapienie rozwiązywać worek, toć ledwie psisko dogoniłem o ćwierć mili, a zmęczyłem się, aż mnie kolki kłują!

Strażnicy od rogatki myśleli pewnikiem, że czeladnik niesie psa, co mu był z ich winy uciekł i puścili go nie patrząc już do worka. I takim to sposobem frant czeladnik zaniósł do miasta cielę i nic nie zapłacił, a potem jeszcze wygrane dostał.

Aleć to zawsze nie było nic innego, jeno sprytne oszustwo.

Zagadka. Ślepy zobaczył, głuchy posłyszał, kulawy dogonił a goły schował do kieszeni.

— Co to jest?

— Kłamstwo.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.